

Karl Grenzler

Strażnicy tajemnicy

pochyleni
od ciężaru ukrytych skarbów

wyróżnieni
nieskończonym zaufaniem

przeżarci
głębością noszonych w sobie uczuć

unikający
drażących spojrzeń i
natrętnych pytań

zajęci
odkurzaniem siedmiu pieczęci i
powtarzaniem rytów

zapomnieli tajemnicę
której strzegli

Zaklinaczka jesieni

ciągnie za sobą
tren suchych liści

odnajdujesz się otoczony
szpalerem uniesionych
w modlitwie gałęzi

w przestrzeni wypełnionej
pytaniami bez odpowiedzi

czujesz całkowicie
zaćmienie chwili
w której jesteś

nadchodzi zima
wilgotnym zapachem
przedśniegu

szeroko otwartymi oczyma
przechodniów

* * *

Kapłanko
chmielu i źródlanej wody
orędowniczko
jadących przed siebie i
tych którzy nie dojechali

oddziel cztery ciała
od pogiętych blach
kół zębatach
splotów
kabli
palm oleju

rozpal kamienny krąg
wygaś wszystkie słońca

pocekkaj na nikle światła lampek
od tych
którzy pozostali

* * *

Chciałem napisać
o doktorze Georgu W.
który w ciągu dnia
zajmował się
rozpuszczaniem kryształów
a nocami
spotykał się z kobietą
z przyszłego stulecia

ale
pochyliłem się nad pustą
kartką papieru
była tak czysta
że nie ośmieliłem się
dotknąć jej bieli

Jan Tulik

Rozmowa trąbki z klarnetem

Izotermy izobary na opuszkach palców
Mojego ojca
Były kreślone na czarno
Mimo mydła proszku wody
Smary i oliwa nieustannie konserwowały
Obłe zamknięte jeziora o barokowych
brzegach

Palce jego grubiały jak rosnące z dnia na dzień
Ziemniaki
Ustawało to dopiero wieczorem
Wtedy ojciec szorstko pieścił łądę klarnetu
Który zaśpiewał najpierw *Na falach Dunaju*
A jego kompan z weselnej paki zza Wisłoki
Odpowiadał mu altem na trąbce
Nostalgiczną opowieścią *Na sopkach*

Mandzurii

To było tak dawno że miałem o tym
zapomnieć

Ale Jarek Mikołajewski nakazał mi:
Napisać co mówię
Napisać na wiersz

Dlatego z grobu ojca
Zaczęły wyrastać nuty

Wypominki

Mokre światła samochodów rozbijają
gipsowe ściany mgieł

Bez końca
bez kalendarza z kartką *grudzień*

Dopalają się cmentarze
najpewniejsze morskie latarnie –
mówi ci to stary pirat
z żywym jeszcze okiem
z bandażem bielma
pod siwym łukiem
który portowe panny nazywały
dumną brwią
(co za szyderstwo wobec swego czasu...)

Rapujący głos zza mgieł –
kapłan z powojenną sklerozą
paciorkujący wypominki.

– Za cmentarzem
w kościele z twarzą elewatora
– bo drewniany spłonął –
za czym przyzwoleniem?

Módlcie się za nami

Nazajutrz

Przez sen przemknęła moja staruszka.
Oto nadchodzi moja noc –
przekłuła mnie twarda diamentowa kula.
Takie myśli porastają mchem strachu;
chwytają się kurczowo ostatniej przestrogi:
Kto się odwraca, łamie kości i wpada w

Przepaść

– przylatuje z szeptem gołąb od Michaux z
wiadomością.
Nie oglądaj się tylko za siebie a wszystko będzie
stracone
na zawsze – przepędza gołębia jastrzęb
wypuszczony
z klatki Rimbaud'a.

Nie posłuchałem ptaków. Nie zdążyłem.
Moje uszy zatapiał przypływ – mlaskanie
dziecięcych ust;
moim oczom ukazała się wilgotna, różowa
twarz dziecka
z olbrzymią kromką świata na pierwsze
śniadanie.

Gołąb i jastrzęb usiadły na chmurze
matczynych włosów.
Odtąd nie słucham już gołębia ani jastrzębia –
nie obchodzi ich, że podglądam ich
polowania
na muchę, rybę, tym bardziej, że dość często
starają się
odetchnąć na obłokach matczynych włosów,
które roztopia grad.

